

Maciej Piekarski

Glosy do "Przedwiośnia" ciąg dalszy

Niepodległość i Pamięć 2/2 (3), 235-240

1995

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Maciej Piekarski

Glosy do *Przedwiośnia* ciąg dalszy

W pierwszym numerze czasopisma "Niepodległość i Pamięć" opublikowałem dzieje mojej rodziny na Kaukazie w latach pierwszej wojny światowej, rewolucji bolszewickiej i wojny 1920 roku. Już po opublikowaniu tego materiału natrafiłem w rodzinnym archiwum na dalsze dokumenty dotyczące tej sprawy, a mianowicie:

"Garść wspomnień" - referat mego Dziadka Ludwika Piekarskiego, dotyczący Oddziału I Polskiego Korpusu w Tyflisie, wygłoszony przez niego w dniu 17 marca 1935 roku na akademii z okazji Zjazdu Stowarzyszenia Dowborczyków "Ku chwale Ojczyzny", oraz raport dotyczący losów Polaków w bolszewickiej Rosji napisany przez mego Ojca Bronisława i złożony przezeń w Państwowym Urzędzie Emigracyjnym.

1. "Garść wspomnień"

Rok 1917. Huragan wojny światowej rozprasza się.

Polska powstaje z gruzów.

Marzenia dziadów i ojców, ofiary całopalne szeregu pokoleń, modły i krwawe łzy starców, niewiast i dzieci zostały wysłuchane.

Ta, co broni świętej Częstochowy i świeci z Ostrej Bramy zmiłowała się nad ludem Swym. I, jak ongi, w pierwszym roku naszej ery zabłyśła gwiazda, wskazuje drogę do źródła wiary i miłości. Tak jak w roku tym nad Wisłą zaświeciła gwiazda odradzającej się Polski, wskazując drogę jej synom, rozproszonym po wszystkich ziemiach.

Wieszczce słowa prorocstwa polskiego kapłana, który wołał: "Wytrwaj a wstaniesz potężna i cała" przyoblekają się w ciało, stają się rzeczywistością.

Czy wtedy przystoi trwać w bierności, czyż nie obowiązkiem naszym stanąć zwartym kołem wokoło Niej?

To też ze wszystkich krańców świata, gdzie tylko słyhać było mowę polską, gdzie biło serce Polskie, dążyli wszyscy do Macierzy, spieszili pod sztandary, na których widniał znak Orła Białego i słowa: Wiara! Ojczyzna! Miłość!, aby Jej służyć.

*

Rok 1918. W stolicy Gruzji, prastarym Tyflisie, zagrzmiała wieść, że ma przybyć oddział I-go Polskiego Korpusu Generała Dowbor-Muśnickiego.

Wiadomość, jak prąd elektryczny przebiegła po całej kolonii polskiej. Silniej zaczęły bić serca. Słyhać było rzucane pytania: "Czy to możliwe? Czy rzeczywiście zobaczymy woj-

sko polskie? Spotykając jedni drugich, z radością, a nieraz i ze łzą w oku, podawali sobie radosną, tak bardzo radosną wiadomość: "Polskie wojsko przyjeżdża!".

Zakrzętnęła się kolonia polska, aby godnie przyjąć tych, co byli wiadomym znakiem, że Polska się odradza, że Polska zerwała kajdany przemocy, że ukochana Macierz swobodna.

Przybyli rozkwaterowali się w gmachu gimnazjum miejskiego przy ulicy Księżęcej, życzliwie udzielonym przez rząd Republiki Zakaukaskiej i zarząd miasta.

Na czele młody porucznik. Oddział składał się z 250 ludzi, przeważnie jeńców-Polaków z wojska austriackiego i niemieckiego, wziętych przez Rosjan do niewoli. Wśród nich - kilkunastu młodzieńców w mundurach szkolnych, którzy nie bacząc na wiek chłopięcy szli tam, gdzie powoływał ich zew krwi, zew obowiązku, tradycja. Byli to przeważnie synowie, wnukowie, a nawet prawnukowie tych, co w latach 31 i 63 zostali tu zesłani za miłość Ojczyzny.

Kilku starszych członków kolonii polskiej wraz ze mną i wraz z młodym dowódcą udaliśmy się do przedstawicieli władz miejscowych dla omówienia spraw związanych z przybyciem oddziału, wyłożenia potrzeb oraz uzyskania zwolnienia na zaopatrzenie się itp.

Zostaliśmy przyjęci przez jednego z ministrów rządu Zakaukaskiego.

Wyłuszczenie sprawy, krótka wymiana zdań i słowa: "Jutro otrzymają Panowie odpowiedź".

Następnego dnia - wezwanie do byłego pałacu namiestnikowskiego i rozmowa z przedstawicielami rządu Zakaukaskiego. Po wstępie i krótkich w proste słowa ujętych wyjaśnienia, usłyszeliśmy odpowiedź: "Rząd Republik Zakaukazu gotów jest okazać jaknajdalej idącą pomoc oddziałowi wojska polskiego, sformowanego na ziemiach Zakaukazu i Turkiestanu, a stanowiącego oddział I-go Korpusu Generała Dowbór-Muśnickiego, ofiarowując tymczasem gościnę. Będąc jednak sam w stadium umocowania ustroju republiki, zwraca się jednocześnie z prośbą do przedstawicieli dowództwa Oddziału, oraz przedstawicieli kolonii polskiej aby dowództwo zechciało objąć czasowo, tj. do chwili wyjazdu z Tyflisu, ochronę Banku Rzeczypospolitej Zakaukaskiej i jego kas, oraz - Skarbu Państwa".

Na widok zdziwienia jakie odbiło się na twarzach naszych, na skutek tak niespodziewanej i nieoczekiwanej propozycji, jaka nas zaskoczyła, Noy Żordania powiedział: "Niech to Panów nie dziwi. Znamy wasz naród i wiemy i przekonani jesteśmy o wielkich walorach żołnierza polskiego, wysokim jego poczuciu odpowiedzialności i obowiązku, oraz jego godności i rycerskości. Dlatego też zwracamy się z tą prośbą. Sądzę, że Panowie przedstawiciele kolonii polskiej nie potrzebują chyba szczegółowych wyjaśnień".

Po krótkiej naradzie z dowództwem Oddziału, propozycja została przyjęta na pewnych jednak warunkach, z których główny głosił, iż na pierwsze żądanie polskich władz przełożonych wspomniany oddział będzie odesłany do Polski.

W okresie dni kilku Oddział został odpowiednio wyekwipowany, tj. otrzymał materiały na mundury, broń dla 75 kawalerzystów i 180 żołnierzy piechoty (była to broń armii tureckiej), 2 kuchnie polowe, kilka karabinów maszynowych, oraz odpowiednie zaprowiantowanie.

Tak w pamiętnym dla kolonii polskiej w Tyflisie roku 1918 zainstalował się czasowo Oddział I-go Korpusu Generała Dowbór-Muśnickiego.

W kilka dni potem rozeszła się wieść, że w niedziele oddział umundurowany, w pełnym rynsztunku będzie w kościele.

Piękny słoneczny dzień. W kościele i przed kościołem tłumy. Tłumy nie tylko Polaków, lecz również Gruzinów, Tatarów i Ormian.

Główna nawa w kościele pusta. Nie dziw, wszak za chwilę wejdą tu ci, co są widocznym symbolem majestatu Najjaśniejszej Rzeczypospolitej! Przedstawiciele dozoru kościelnego wraz z księdzem oczekują przy wejściu do kościoła.

Z daleka odgłos trąbki. Echo niesie wesołą melodię Mazurka Dąbrowskiego. Słychać szepty: "Idą! Idą!, a po chwili grom okrzyków: "Niech żyją! Witajcie! Czołem!" A wśród tych głosów słychać: "Gamardzoba!", "Jachsze Lechistan!", "Niech żyje Rzeczpospolita Polska!"

Stanęli w ordynku. Po chwili komenda: "Czwórkami marsz!"

U progu ksiądz kropi wodą święconą dowódcę i starszyznę. Wszak wprowadza do świątyni żołnierza polskiego.

W tym momencie nie wytrzymał organista. Organy zagrzmiały "Jeszcze Polska nie zginęła!". Tłumaczył się potem, że to "nie naroczno", sam nie wie, jak same palce zaczęły grać. Był to stary żołnierz byłej armii rosyjskiej. Polak. Służył tu w wojsku i pozostał.

*

A teraz inny obrazek.

Duży gmach szkolny. Sale widne i czyste. Rzędami ustawione łóżka z czystą pościelą. Pod ścianami - broń. Godzina 8-a wieczorem. Trąbka wzywa na modlitwę.

Obszerny korytarz szkolny wypełnia się bracią żołnierską. Stają w ordynku karnie. Po chwili wchodzi starszyzna, rozlega się krótka komenda. Majestatycznie wznosi się ku niebu piękna pieśń "Wszystkie nasze dzienne sprawy", a potem "Rota". Grzmią z piersi pełnej słowa: "Nie rzucim ziemi skąd nasz ród...". Serca nasze biją przyspieszonym tętnem i wierzymy, i wierzymy święcie, że słowa: "Tak nam dopomóż Bóg" w ustach tej garstki przyszłych obrońców Ojczyzny, są czemś więcej niż przysięgą. Mimowoli przychodzą na myśl słowa S. Grudzińskiego:

"My, rycerskich rodów syny

Drogię ojców nam wawrzyny,

Drogię ojców stare bogi!

Pierś okujem w stal wytrwania,

Serce wiara nam rozpala..."

Tak. Serca ich wiara im rozpala i drogie są im ojców wawrzyny!

*

28 czerwca 1918 roku. Część członków kolonii polskiej wraca do kraju i jednocześnie ma udać się Oddział I-go Polskiego Korpusu tam, dokąd wzywa go obowiązek żołnierski.

Słońce zachodzi za pobliskie góry. Długi szereg wozów kolejowych, szarych, jak szara była dola tych co z niemi odjeżdżali. W powietrzu unosi się gwar, widać gorączkowy pośpiech, bieganina, nawoływania.

Ludzie stają grupkami, rozmawiając: jedni drugim dają zlecenia, słychać słowa przyrzeczeń, gdzieś ciche szepty, a nawet łkania.

Naraz przez gwar ten przebijają się dźwięki trąbki wojskowej. To trąbka Oddziału I-go Polskiego Korpusu wzywa swym dźwiękiem do apelu. Migają amaranty wyłogów mundurów, błyszczą w blasku zachodzącego słońca orły na czapkach. Wiara staje w ordynku. Krótka komenda: "Bacność!"... zamarło. "Równaj się!" Raz jeszcze "Bacność!" "Czwórki w prawo zwrot!" "Marsz!" komenderuje młody dowódca oddziału.

W zwartym szyku, ramię przy ramieniu, jak stary żołnierz spod znaku Kościuszki lub ks. Poniatowskiego, ruszył oddział ceremonialnym marszem. Znów krótkie słowa komendy "stój", słowa pożegnania. Cichy szept błogosławieństwa. Uścisk dłoni i serdeczny pocałunek z dowódcą, starszyzną i komenda: "Siadać!".

Zakołysały się głowy ludzkie. Niewymowny ból, a zarazem niewypowiedzialna radość ścisnęła serca. Siadają. Ludzkie mrowie przed wagonami faluje, kłębi się, wznosi ręce do góry, gestykuluje. Coś mówią

Naraz komenda. Gotowe. Przerażliwy gwizdek i ... melodia hymnu, popłynęła z wagonów, "Boże coś Polskę..." podchwycona przez odprowadzających.

Tłum z obnażonymi głowami biegnie za pociągiem. A wagony wciąż prędzej i szybciej turkoczą kołami i tylko echo już donosi słowa pieśni.

2. Raport Bronisława Piekarskiego dla Państwowego Urzędu Emigracyjnego

"Chrzęstów 12 lutego 1922 roku.

16 miesięcy temu nad brzegami Bałtyku w ostatniej pozostałej na gruzach dziedzictwa carów Łotwy Rydze zjechały się delegacje Polska i Sowiecka w celu zawarcia traktatu pokojowego mającego zakończyć polsko bolszewicką wojnę.

Jednym z rezultatów rokowań obu delegacji było zawarcie w myśl VII paragrafu umowy o przedwstępnych warunkach pokoju "Układu o repatriacji" zapowiadającego powrót z "Raju socjalistycznego" setkom tysięcy naszych rodaków bądź to wygnanych przez popleczników cara żandarmów w tajgi Syberii, bądź pędzonych nahajkami kozactwa w roku 1915 z prawego brzegu Wisły w głąb Rosji.

Zaraz po ogłoszeniu rzezonego układu szare tłumy naszych rodaków wystawionych na pastwę tak zwanych "czerezwyczajek" i "Osobych oddziałów" zabarwiających błędną sztandar rewolucji szkarłatem krwi ciemzonego i steryzowanego ludu zaczęły się uciekać do miast oblegając sowieckie urzędy ewakuacyjne, rejestrując się i oczekując pierwszych transportów do ukochanej Ziemi Rodzicielki.

Zdawałoby się, że nic prostszego być nie może jak załatwienie wszelkich formalności związanych z kontrolą dokumentów mającą trwać w myśl Układu o repatriacji zaledwie 20 dni, ogłosić spisy i po naładowaniu do echelonów wysłać rodaków naszych na zachód ku polskiej granicy. Lecz władze sowieckie nic nigdy nie robią we wskazanym terminie.

Podobnie rzecz się ma w wypadku repatriacji. Rodacy nasi pozbawieni są wszelkiej opieki, albowiem delegacje polskie w Moskwie, Charkowie i Kijowie są wprost bezsilne wobec ignorujących je władz sowieckich, zmuszeni są wyczekiwać całymi miesiącami, aż grupa demagogów - biurokratów raczy wziąć na siebie pracę przejrzania spisów i zatwier-

dzenia takowych otwierając udręczonym i wyzbytym z mienia rodakom perspektywę oczekiwania łaski wysłania ich do Ojczyzny.

Oczekiwanie na zatwierdzenie spisów i załadowanie do echelonów trwa 3 do 4 miesięcy w warunkach przechodzących pojęcie ludzkie.

Repatrianci pomieszczeni przez władze ewakuacyjne do starych, budowanych jeszcze za czasów caratu drewnianych na wpół rozwalonych baraków, absolutnie nieopalanych i posiadających często zamiast okien plecionki z liści, mrą setkami z głodu, chłodu i chorób zakaźnych tak, że wypadki wymierania całych rodzin złożonych często z 7-8 osób stały się rzeczą stojącą na porządku dziennym, a co gorsze zostają często 4-5 letnie dzieci sieroty skazane wskutek swej niezaradności na śmierć jeszcze straszniejszą bo śmierć z głodu. Podobne dramaty przestały już wzruszać serca towarzyszków niedoli.

Wbrew "Układowi" o repatriacji prawie, że nie karmieni, albowiem tylko dzieci otrzymują od czasu do czasu bo zaledwie 2-3 razy tygodniowo obiad złożony z talerza rozgotowanej w wodzie kaszy i 1/2 funta chleba ze słomą, sieczką i patykami przewożonego nieraz na wozie trupów bez trumien, często osób zmarłych na choroby zakaźne, rodacy nasi zmuszeni są wyprzedawać resztki mienia swego ocalałego od rekwizycji ścisłej grabieży wszechwładnej "czerezwyczajki", pająkom w ludzkiej postaci - Żydom płacącym często zaledwie 1/5 wartości.

Pomimo szerzących się chorób zakaźnych jak tyfus plamisty, brzuszny, czerwotka itp. repatrianci pozbawieni są opieki lekarskiej, albowiem lekarze sowieccy mający za obowiązek leczenie tak zwanej "bieżenskiej swołoczy" ograniczają się do zajrzenia przez okna baraku i rzucenia krótkiego zapytania: "Bolen!?" i następującego po otrzymaniu twierdzącej odpowiedzi rozkazu: "W bolnicu!".

Szpitalne sowieckie przeznaczone dla repatriantów, najzupełniej nieopalone, pozbawione niezbędnych miejsc do załatwienia potrzeb fizycznych człowieka, utrzymane w warunkach nie odpowiadających najelementarniejszym wymogom higieny, pozbawione szpitalnej bielizny i niezbędnych lekarstw, nazywane przez naszych rodaków "przedsionkiem śmierci" budzą paniczny strach, tak, że umieszczenie chorych stan zdrowia których wymaga często opieki troskliwej lekarskiej odbywa się siłą.

Nic też dziwnego, że zdarzają się wypadki ucieczki chorych mających do 40 stopni gorączki w mrozy dochodzące do 30 stopni z tak utrzymanego szpitala w jednej bieliźnie z powrotem do baraków, gdzie temperatura rzadko kiedy bywa wyższa niż 10 stopni poniżej zera.

Jako widomy skutek podobnie troskliwej opieki lekarskiej dają się widzieć odbywające się 3-4 razy dziennie, a nawet i więcej pogrzeby na widok których serce się ściska z żalu i rozpaczy.

Trup rzucony na saneczki ciągnięte przez Ojca, to przez Matkę, siostrę lub brata, a często przez dzieci bo liczące najwyżej 10 lat, nakryty płachtą, leżącą na niej łopatą i toporem i zamiatający śnieg gołemi piętami przedstawia obraz nędzy i rozpaczy na widok którego człowiek zaciska tylko pięści w gniewie bezsilnym na władze sowieckie stawiające naszych rodaków na równi, a nawet niżej bydła.

Nic też dziwnego, że skazani na życie w tak okropnych warunkach rodacy umierają tysiącami użyźniając kośćmi swemi ziemię obczyzny tak, że nareszcie kiedy bezduszny biu-

rokrata sowiecki zatwierdzi spisy i te zostają ogłoszone połowa ludzi z danych spisów albo zmarła, albo jest tak ciężko chora, że jechać pomimo najszczerzej chęci nie może.

Ale z nadejściem spisów jeszcze niedoła rodaków naszych się nie kończy. Jeszcze mają przed sobą oczekiwanie na wagony, których władze sowieckie prawie dać nie mogą, albowiem wszystkie stacje są sparaliżowane, wprost zawałone wagonami, ale... rozbitymi do szczętu.

Wagony towarowe, któremi jadą nasi rodacy często dwa do trzech tysięcy wiorst do ostatniego czasu były opalane, tak, że podczas mrozów dochodzących w Bolszewji do 40 stopni zdejmowano na większych stacjach z echelonów liczących 2000 osób po 20 trupów.